

O PROFESORZE WŁADYSŁAWIE MARKIEWICZU WSPOMNIENIE Z POZNANIA

Profesor Władysław Markiewicz jest postacią, o której – mimo że niestety jest to wspomnienie po jego ostatecznym odejściu – trudno jest mówić i pisać w czasie przeszłym: tak aktywnie uczestniczył do końca w życiu społecznym i naukowym, tyle aktualnych ciągle myśli wypowiadał. Dzieciństwo w wielkopolskiej, robotniczej rodzinie na zarobkowej emigracji we Francji, praca na przymusowych robotach w Niemczech, obozy koncentracyjne Mauthausen i Gusen (z całą pewnością niemieckie, nawet geograficznie nie „polskie”) służba w II Korpusie Polskim gen. Władysława Andersa, powrót do kraju, członkostwo w PPR i PZPR (aż do rozwiązania, choć deklarował datę, do której „jeszcze wierzył” i na SLD głosował „z przyzwyczajenia” – są to sformułowania z jego ostatniej książki, wywiadu-rzeki o znamienym tytule *Sto lat przeciw głupocie* (z 2016 roku) – a pozostawał jednak konsekwentnym człowiekiem lewicy, i to mimo świadomości jej (ale nie tylko jej) kryzysu, prawie samotna obecność w siedzibie władz partyjnych w czasie robotniczego protestu Poznańskiego Czerwca 1956 (z nawiązaniem zaaprobowanego przez nich kontaktu z manifestantami!), przejście całej kariery naukowej bez żadnej „taryfy ulgowej” u recenzentów o uznanym autorytecie, aż do samych szczytów – taki jest w telegraficznym skrócie jego życiorys.

Należał do wymierającej właśnie kategorii Polaków, których o historii Polski, sprzed wojny do dziś, nie trzeba pouczać, bo ją po prostu przeżyli. Ale i w tej generacji nie wszyscy potrafili z tego wyciągać trafne wnioski. On potrafił. Chyba miał rzadki talent unikania pozycji zarówno wasała, jak i wroga czy konkurenta. Może dlatego właśnie na wszystkich etapach polskich przemian był zawsze w jakimś stopniu na cenzurowanym, choć nigdy i na żadnym etapie nie potrafił go zdyskredytować. Przykładem mogą być dzieje podręcznika szkolnego jego autorstwa (*Propedeutyka nauki o społeczeństwie* z 1971 roku), napisanego całkowicie w duchu ówczesnej ortodoksji, ale jednak w sposób pobudzający do samodzielnego myślenia, uczący widzenia przyczyn, skutków i zależności, nie zaś pozytywnych i negatywnych etykietek (co było niedocenianą dziś, ale według mnie bardzo istotną funkcją całego tak zwanego „szkolenia ideologicznego”). Mimo dobrego wówczas przyjęcia i trzech wydań podręcznik został wycofany osobiście przez Piotra Jaroszewicza, ponoć dlatego głównie, że uraziło go sformułowanie „prezes Rady Ministrów jak pierwszy przewodniczący (potocznie nazwany premierem)”... *Se non è vero è ben trovato*. A w ogóle,

mimo piastowania wysokich stanowisk w nauce polskiej nie dostał – na żadnym etapie – zbyt wielu instytucjonalnych oznak uznania. Lista jego polskich odznaczeń państwowych jest dość krótka, doktorat *honoris causa* otrzymał w Japonii (od uniwersytetu w Kioto), a *Grosses Verdienstkreuz* w Niemczech.

Był człowiekiem niezwykle asertywnym, choć przyznawał się do przekory, ale połączonej z tym szczególnym pielęgnowaniem empatii, którą uważał za obowiązkową niejako cechę socjologa. Dlatego nawet w najbardziej polemicznych swych tekstach szukał tego, co łączy, a nie tego, co dzieli, zarysowywał pozytywne perspektywy. Może i wiązało się to z silniejszą chyba niż w innych regionach, wielkopolską cechą braku regionalnych tęsknot, wyobcowania i ostracyzmów gdziekolwiek i w jakiegokolwiek konstelacji się żyje. Ale do Poznania, „miasta do którego się wraca”, przyjeżdżał często i z przyjemnością.

Niektórzy wykładowcy starali się opanować głosowo salę, a niektórym się to nawet udawało (nagłośnienia wtedy nie było). On po prostu zaczynał wykład bardzo cichym głosem – i to pomagało. A zresztą on i tak mówił tylko do tych, którzy wiedzieli, że tego warto słuchać. I chyba im mniej go słuchano, tym gorzej to świadczyło o słuchaczach, nie o nim.

Jego polemiki ograniczały się zwykle tylko do stawiania pytań wskazujących pominięte aspekty zagadnienia. Zawsze był – przepraszam za to często nadużywane określenie – patriotą nie w jakimś deklaracyjnym wydaniu („kto ją głóśniej wypowie”, jak pisał jakoś dziś zapomniany Jan Kasprówicz), ale w znaczeniu służby takiej Polsce, jaka jest, a nie jakiejś przez siebie wymyślonej i poprzez prymat tworzenia dla niej racjonalnych programów nad dążeniami do uchwylenia i utrzymania władzy. Dlatego i rozważań nad socjologią narodu nigdy nie zaniechał, nie poprzestając na potępianiu nacjonalizmów. Jego zainteresowania badawcze dostosowywane były do klimatu i warunków społecznych, ale nie hołdujące przejściowym modom w dyscyplinie. Podobnie jak i przyjaźnie.

Pamiętam jego charakterystyczną wypowiedź z czasu, kiedy RFN w oficjalnych oświadczeniach lansowała *Ostpolitik*, „nową politykę wschodnią”. Ówczesne polskie władze zareagowały szeroko rozpowszechnianą formułą, że ta polityka „to tylko słowa”. A on powtarzał: „A odkąd to słowa nie są aktem politycznym?”. Niedaleka przyszłość przyznała mu rację. Albo żartobliwa, ale trafna uwaga-ostrzeżenie polskich stypendystów zagranicznych przed zdobywaniem sobie tam zainteresowania prawicowym ekstremizmem: że takich na Zachodzie mają wielu u siebie, a w nas interesuje ich właśnie ta nasza (ówczesna) skrajna lewica i jej argumentacja. Albo, po długim pobycie w zachodnich Niemczech, trzeźwe uzupełnienie obolałych polskich wspomnień okupacyjnych stwierdzeniem, że dzisiejsi, przeciętni, Niemcy często potrafią być sympatycznymi znajomymi i sąsiadami.

W Poznaniu nie tylko studiował i zdobył wszystkie stopnie naukowe, ale – po przerwie w latach 1951–1969 – odbudował organizacyjnie i kadrowo od

podstaw Instytut Socjologii, uruchomił na nowo studia z socjologii, a w 1970 roku studium doktoranckie i przekazał ich kierownictwo w 1972 roku profesorowi Andrzejowi Kwileckiemu. We wszystkim, co się w tych latach działo w poznańskiej socjologii, miał istotny udział. Równocześnie w 1958 roku został wybrany członkiem Instytutu Zachodniego, w 1962 roku został jego wicedyrektorem naukowym, a w latach 1966–1973 dyrektorem. Z jego też inspiracji w 1972 roku powstał w Poznaniu Zakład Badań nad Polonią Zagraniczną PAN (w 1992 roku przemianowany na Zakład Badań Narodowościowych PAN).

Dobrze pamiętam na przykład dłuższe spotkanie z nim na konferencji „Rola kultury w integracji ziem odzyskanych” w 1985 roku, w Olsztynie. Uczestniczyli w niej wtedy między innymi profesorowie: Władysław Jacher, Andrzej Kwilecki, Władysław Misiak, Franciszek Mleczek, Bogdan Suchodolski, Wojciech Wrzesiński, Kazimierz Żygulski, był znany nie tylko na Śląsku redaktor Wilhelm Szewczyk z Katowic. W wygłoszonym wtedy referacie Profesora Markiewicza (opublikowanym potem w książce *Spraw polskich splątanie* z 1986 roku) jest chyba aktualny do dziś jego ówczesny apel, by zastanowić się nie tylko nad tym, co Polska uczyniła dla rozwoju tych ziem, ale także nad tym, jak ich powrót zmienił naszą psychikę zbiorową. (Czy zmienił?...) Ta mało wspomniana konferencja była też rodzajem pożegnania socjologii polskiej z tą do dziś nader istotną problematyką, która zresztą tak bardzo pomogła w przetrwaniu socjologii jako dyscypliny naukowej w okresie stalinizmu. I dla niego była to problematyka rozprawy doktorskiej, monografii *Przeobrażenia świadomości narodowej reemigrantów polskich z Francji* (1960 rok), z którą czuł się zawsze najbardziej związany emocjonalnie, chyba i dlatego, że jako dziecko zakosztował losu emigranta, a która pozostaje mimo wszystkich obecnych przewartościowań ważnym głosem w socjologicznej teorii narodu, a losy resztek tej grupy osadniczej w powojennej Polsce mogłyby być nadal nader pouczające. W ogóle zaś wydaje mi się, że dobrze by było, gdyby osobistości pokroju Profesora Władysława Markiewicza dla młodych i starszych Polaków były wzorami osobowymi w większym stopniu, niż za ojczyznę ginący lub ją sobie podporządkowujący.

I jeszcze jedno. Jego najbliższym współpracownikiem i przyjacielem, nie tylko w Poznaniu, był profesor Andrzej Kwilecki. Ja staram się go tu tylko jakoś, bardzo osobiście, zastąpić licząc, że to on po niedyspozycji zdrowotnej przedstawi wersję wspomnień o Profesorze Władysławie Markiewiczu o wiele pełniejszą i bogatszą.

Krzysztof Kwaśniewski